

Obrazki zza płotu albo dlaczego grodzimy osiedla i betonujemy place

25 listopada 2021

Betonowanie placów miejskich ma zostać zakazane na mocy decyzji PiS. Po co się więc nim jeszcze zajmować? Może dlatego, że zawsze warto rozumieć proces, w który następuje ingerencja. Przypadek chociażby zakazu handlu w niedzielę pokazuje, że rozstrzygnięcie legislacyjne jest ważnym, ale dopiero pierwszym krokiem. Zwłaszcza, jeśli dotyczy zjawisk budzących silne, sprzeczne i nie do końca rozpoznane emocje.

Obrazek pierwszy: nie ma ławki – nie ma „menela”

Na początku lat dwutysięcznych bliska mi osoba kupiła mieszkanie w Warszawie, w pięknej okolicy na Górnym Mokotowie, niedaleko metra i kina „Iluzjon”. Dość szybko rzucił jej się w oczy brak ławek. Zapytała o to gospodarza domu. „Proszę pani, jak jest ławka, to na niej jest menel” – odpowiedział. W ten sposób mokotowski dozorca w kompaktowy sposób wyraził ideę stojącą za zamykaniem poczekalni kolejowych, usuwaniem ławek lub czynieniem ich niemożliwymi do leżenia, pokrywaniem gzymsów kolcami, zakładaniem domofonów, grodzeniem osiedli. Ideę fizycznego ograniczania dostępu intruzom – niepożądanym osobom (ale też na przykład gołębiom). Ta sama myśl leży również u podstaw betonowania placów, ale o tym później.

Na razie cofnijmy się do początku XXI wieku, a nawet dalej. Bo żeby zrozumieć pragnienie czy potrzebę fizycznego oddzielenia się od intruzów, musimy wrócić do lat dziewięćdziesiątych. Albo obejrzeć film „Dług” Krzysztofa Krauzego. Ten obraz upraszcza czy nawet zniekształca realia, ale świetnie oddaje

atmosferę Polski kilka lat po przemianach ustrojowych. Z erupcją przemocy, bezkarnością przestępców pospolitych, zorganizowanych i gospodarczych, a przede wszystkim – dojmującym poczuciem, że jest się w tym wszystkim samemu. Że państwo abdykowało z wielu podstawowych funkcji, w tym z dbania o bezpieczeństwo. Że nie ma co liczyć na władzę, na policję, na bliźnich. Że trzeba wziąć sprawy we własne ręce, co przecież zgadzało się z oficjalną doktryną balcerowiczowskiej transformacji. Więc ludzie brali sprawy we własne ręce. Lata dziewięćdziesiąte i następne to był czas mody na kursy samoobrony, pistolety gazowe, zakładanie krat i zdejmowanie spisów lokatorów. Oraz na budowanie płotów i zamykanie bram.

W sytuacji wycofania się państwa, tworzenie fizycznych barier wydawało się naturalnym sposobem oddalania niebezpieczeństwa. Rosnąca alienacja, samotność, znieczulica i lęk powodowały, że zagrożeniem był już nie tylko przysłowiowy facet bez karku siedzący w czarnym BMW, lecz każdy obcy, niepasujący do stereotypu, inny.

Obrazek drugi: labirynt z płotów

Wspomniane mieszkanie znajdowało się w zbudowanej zaraz po wojnie kamienicy, która stała pośrodku dużego kwadratowego podwórca, a właściwie małego skweru położonego między czterema ulicami. Bramy okalających kamienic były otwarte, więc dało się szybko wyjść w pożądaną stronę. Można też było skorzystać z dużego podwórza bądź dzięki jego obecności poczuć więcej przestrzeni. Wszystko zaczęło się zmieniać po kilku latach, wraz z grodzeniem.

Charakterystyczny był sposób, w jaki je przeprowadzono. Kształt przestrzeni wręcz prowokował do tego, by zamknąć lub wstawić kilka bram i rozdać kody czy klucze. W naturalny sposób powstałby chroniony kwartał, dostępny tylko dla mieszkańców. Sprzyjałoby to również oswojeniu i wzięciu

odpowiedzialności za „niczyje” do tej pory podwórze, które mogłoby zostać zagospodarowane jako przestrzeń wspólna służąca potrzebom lokatorów z wszystkich okalających domów. Stało się inaczej. Płoty pojawiły się stopniowo, jakby niepostrzeżenie, stawiane przez poszczególne wspólnoty wokół własnych budynków. Bramy faktycznie zostały zamknięte, ale klucze do każdej otrzymywali wyłącznie lokatorzy domu, w którym się znajdowała. W ten sposób przestało być możliwe wychodzenie na cztery strony świata. Od pewnego momentu każdy mieszkaniec musiał już opuszczać swój dom konkretną drogą, często jej nadkładając. Zaczynało to zresztą przypominać skomplikowaną wędrówkę wśród płotów wyrastających tuż za oknem. Podwórze nie było już przestrzenią wspólną (ani zagospodarowaną, ani zdziczałą), lecz klaustrofobicznym labiryntem.

W tym konkretnym przypadku (i nie tylko w nim) charakterystyczne jest to, że jako intruzi potraktowani zostali nie ci, którymi tradycyjnie straszono (włamywacze, złodzieje aut, narkomani, pijacy itp.) czy nawet osoby skracające sobie drogę do metra, lecz sąsiedzi. Bariery nie powstały na granicy wspólnoty, by ją chronić przed – wyimaginowanym czy realnym – zagrożeniem, lecz w jej wnętrzu. Ale czy aby na pewno wspólnoty? Czy ludzie, którzy zamieszkiwali sąsiadujące domy, czuli się nią? Może wcale nie? Może raczej uważali sąsiadów za zło konieczne, które co najwyżej należy tolerować?

Mokotowski przypadek wcale nie był odosobniony. W całym kraju w tamtym czasie nie tylko podwórka, piętra wieżowców czy galerie falowców były cięte kratami, lecz dopełniał się proces „prywatyzacji” ostatnich przestrzeni wspólnych w budynkach wielorodzinnych. Sprzedawano czy oddawano w dzierżawę pomieszczenia, które w założeniu projektantów miały być użytkowane kolektywnie, takie jak wózkownie, pralnie, kluby, strychy. Nie wspominając o dogodnych do wydzielania kawałkach korytarza czy nawet dodatkowych kłatkach schodowych. Gdzieś tam ostały się suszarnie czy świetlice – te ostatnie

jednak niemal wyłącznie w blokach spółdzielczych.

Opisane sprawy były niewątpliwie kulminacją pewnych procesów. Na pewno nawarstwiły się tu zjawiska z lat pięćdziesiątych uruchomione przez wybrany model transformacji – z jednej strony lęk i alienacja narastające aż do paranoi, z drugiej indywidualizm i dążenie do uwłaszczenia. Ale nie tylko. Myślę, że chodzi o procesy głębsze i starsze. Wyraźne już w epoce Gierka, w której dzieje się akcja serialu „Czterdziestolatek”. W jednym z odcinków inżynier Karwowski, przerażony anonimowością i znieczulicą panującą w jego bloku, próbuje założyć klub mieszkańców. A w zasadzie go reaktywować, bo pomieszczenie jest, tylko zawłaszczone przez gospodarza domu Walendziaka, który nieoficjalnie prowadzi tam punkt naprawy odbiorników RTV. To właśnie on zada ostateczny cios inicjatywie Karwowskiego, ale tak naprawdę upada ona pod ciężarem oporu mieszkańców, którzy są wobec pomysłu odtworzenia przestrzeni wspólnej obojętni, niechętni, a nawet wrośli. Jest coś symbolicznego w tym, że – wiele dekad przed wszechobecnymi dziś lamentami – kontakt z żywym słowem i żywymi ludźmi przegrywa z potrzebą siedzenia z najbliższą rodziną w czterech ścianach i oglądania telewizji.

Zdruzgotanemu inżynierowi rzeczywistość tłumaczy jak zwykle Kobieta Pracująca, która akurat dorabia sobie w instytucie socjologii. Streszczając pracę poświęconą sytuacji z Nowego Bródna, gdzie sąsiedzi zainterweniowali w obronie atakowanej kobiety, a potem bez słowa rozeszli się do mieszkań, podsumowuje ona: „Nie znają się i nie chcą się znać”. To zdanie-klucz, które wyjaśnia wiele zjawisk zachodzących współcześnie.

Odnosi się ono do tej cechy zamieszkiwania w budynkach wielorodzinnych, jaką jest wymuszone sąsiedztwo. Powoduje to dwa źródła poważnego stresu środowiskowego. Pierwszym jest poczucie zatłoczenia, czyli postrzeganie przestrzeni dostępnej jako mniejszej od pożądanej. Życie w bloku czy kamienicy konfrontuje ze stałą obecnością innych ludzi, ich śladami,

odgłosami, zapachami. Zamieszkiwanie pod jednym dachem wystawia na konsekwencje cudzych decyzji – nie tylko podejmowanych gremialnie (na przykład przez zarząd wspólnoty czy spółdzielni), lecz również indywidualnych, wpływających chociażby z odmiennych priorytetów, preferencji czy gustów. A nie każdy ma tyle tupetu (i władzy), co Stanisław Anioł w serialu „Alternatywy 4” żądający od sąsiada, by zmienił kolor zasłon, bo brązowy obok zielonego „wygląda jak gówno w lesie”.

Prowadzi nas to do drugiego ze źródeł stresu. Jest nim daleko mniejsza niż w przypadku budownictwa jednorodzinnego prywatność oraz możliwość personalizacji zamieszkiwanej przestrzeni. Są to bardzo podstawowe potrzeby psychologiczne, których frustracja uruchamia mechanizmy obronne. Niektóre mają charakter kreatywny, a ich wyrazem jest z jednej strony ozdabianie balkonów i drzwi, wieszanie firanek i obrazków na klatkach schodowych czy uprawa przybłokowych ogródków, a z drugiej strony na przykład graffiti czy wlepki. Inny rodzaj mechanizmów obronnych w sytuacji poczucia zatłoczenia i ograniczenia prywatności polega na wycofaniu się z relacji, a nawet z kontaktu. To dlatego w wielu krajach (na pewno w Polsce i w Stanach Zjednoczonych) nie spełnił się sen modernistycznych architektów, którzy projektowali w budynkach duże przestrzenie wspólne kosztem prywatnych. W założeniu mieszkańcy mieli się tam spotykać, przypadkiem bądź intencjonalnie, poznawać, nawiązywać relacje i budować więzi. Tyle teoria. W praktyce okazało się, że ludzie, którzy odczuwają obecność innych w swoim życiu prywatnym jako narzuconą, będą się raczej unikać. „Nie znają się i nie chcą się znać”. A kiedy pojawi się taka możliwość – jak w Polsce w latach dziewięćdziesiątych – odgradzą nawet od najbliższych sąsiadów.

Obrazek trzeci: jajecznicza na

betonie?

Od lat nie bywam już na opisanym mokotowskim podwórku, nie wiem więc, jak potoczyły się jego losy. Być może dalej dziczeje podzielone płotami. Można się jednak spodziewać, że zostało w taki czy inny sposób utwardzone kosztem zieleni – zgodnie z logiką ostatnich lat trapionych chorobą nazwaną betonozą. To zjawisko jest wciąż dość szeroko analizowane, również przeze mnie. Można je w skrócie opisać jako silną tendencję, zgodnie z którą przestrzeń publiczna po remoncie czy rewitalizacji zawiera w sobie mniej zieleni niż przed wprowadzeniem zmian. Innymi słowy, przebudowa terenów wspólnych w Polsce wiąże się w dużej mierze z usuwaniem trawników, wycinką drzew i krzewów itp. Na ich miejsce pojawiają się bruk, cement czy kostka, uzupełnionymi przez rachityczne formy typu drzewko w donicy, które nie rekompensują utraconej zieleni, stanowiąc raczej rodzaj alibi. W ten sposób w polskich miastach na placach, ulicach, a nawet skwerach powstało mnóstwo betonowych pustyń, niedających schronienia przed deszczem, wiatrem, a zwłaszcza upałem. Do tego ostatniego zjawiska odnosiły się happeningi polegające na smażeniu jajecznic na środku wybrukowanego, rozgrzanego słońcem rynku.

Presję na betonowanie przestrzeni miejskich tłumaczy się różnie. Oficjalne komunikaty samorządów często podkreślają chęć przywrócenia rynkom ich oryginalnego kształtu. Jest to prawda, ale tylko częściowa, ponieważ nie uwzględnia faktu, że główne place miejskie różnie wyglądały w różnych momentach historycznych: inaczej na przykład w średniowieczu, gdy mieściły w sobie budowle czy urządzenia służące wspólnocie; inaczej przed wojną, gdy były puste, aby można było zjeżdżać wozami na jarmarki; inaczej w PRL-u, kiedy w ramach szybkiej odbudowy i pod wpływem idei modernistycznych place zadrzewiano, często zamieniając w rodzaj skwerów. Za każdym razem mamy do czynienia z oryginalnym kształtem, jego wybór przy remoncie jest zatem kwestią arbitralną.

Sporo osób zwraca uwagę na procedury, w ramach których przydzielane są środki unijne na rewitalizację czy modernizację przestrzeni miejskiej. Ich konstrukcja ma sprzyjać wybieraniu przy przebudowie najprostszych, często izolowanych od siebie rozwiązań, typu wycinka, brukowanie, sadzenie drzew w donicach, stawianie ławek, latarni itp. Niektórzy idą dalej, sugerując, że na betonowaniu czy innych ciężkich pracach budowlanych łatwiej dać zarobić tym przedsiębiorcom, którzy mają zarobić.

Konflikt o betonozę wpisuje się ponadto w toczony na wszelkich polach polski spór modernizacyjny. Jedną jego stroną są ci, dla których nowoczesność wiąże się ze stopniowym przekraczaniem wiejskich korzeni, a zatem między innymi odchodzeniem od drewna, ziemi, nieuporządkowanej zieleni w kierunku betonu, bruku i przyszyżonych trawników. Po drugiej stronie sporu znajdują się ci, którzy chcieliby ten etap rozwoju społeczeństw czy miast przeskoczyć i znaleźć się od razu tam, dokąd dotarły państwa Europy Zachodniej, a zwłaszcza północnej. Tam promuje się maksymalizowanie powierzchni biologicznie czynnych, szerokie stosowanie materiałów ekologicznych oraz ograniczanie ingerencji w naturalne procesy. Spór pomiędzy zwolennikami wolniejszej i przyspieszonej modernizacji jest ogólnie bardzo emocjonalny, w dużej mierze oparty na zawstydzaniu. Tak też jest w przypadku konfliktu o betonozę, którego temperatura (!) wzmacniana jest faktem, że przeciwnicy brukowania placów mają po swojej stronie aktywistów i naukowców zajmujących się ociepleniem klimatu. Szereg ich argumentów zasługuje na uznanie, ale jeden wydaje mi się nieoczywisty. Otóż zgadzam się, że brak osłony przed deszczem, wiatrem czy słońcem nie sprzyja spędzaniu czasu na rynku. Ale też każdy, kto mieszka bądź bywa w polskich miastach (zwłaszcza mniejszych i średnich), wie, że i przed wycinką drzew ich place nie tętniły życiem. A już na pewno nie często i nie z głównym udziałem tak chętnie przywoływanych matek z małymi dziećmi.

Ten ostatni przykład uznać można za znamienity. W psychologii środowiskowej panuje bowiem przekonanie – zgodne zresztą z potoczną intuicją – że dane miejsce postrzegane jest jako bezpieczne, jeżeli chętnie przebywają tam osoby starsze i dzieci właśnie. Z tego punktu widzenia większość polskich rynków czy placów nie należy do bezpiecznych. I nie należała również przed betonowaniem. Oczywiście w dzień powszedni przed południem panuje na nich hałas i gwar. Jeśli się jednak przyjrzeć, to nie mamy do czynienia z dłuższym przebywaniem, zwłaszcza osób starszych czy dzieci, lecz raczej z przemieszczaniem się w krzątaniu załatwianych spraw i ewentualnie z krótkimi zatrzymaniami w ruchu. Oczywiście w pogodne niedzielne popołudnia (ale wczesne!) na rynku spotkamy trochę rodziców czy opiekunów z dziećmi, zwłaszcza jeśli jest tam fontanna czy lodziarnia. Po pierwsze jednak na miejskich placach znajdziemy ich tam znacznie mniej niż w tym samym czasie w przeciętnej galerii handlowej czy sali zabaw. Po drugie, i te nieliczne osoby starsze czy dzieci znikają z rynków na długo przed zapadnięciem zmroku. Miejskie place wracają zaś wtedy do swych realnych właścicieli. Ponownie wchodzi w posiadanie tych, którzy je okupują zazwyczaj: pojawiają się najwcześniej i najpóźniej schodzą. W międzyczasie natomiast zajmują najdogodniejsze miejsca. W czasach przed betonozą to właśnie oni przesiadywali w przywoływanym dziś z nostalgią cieniu. Wybierając lokalizacje najczęściej lekko na uboczu, ale pozwalające kontrolować wzrokiem wszystko, co dzieje się na placu. Na różne sposoby zaznaczając swoją obecność.

Ludzie, ale też i inne gatunki, po znalezieniu się w zamkniętym obszarze – a takim jest małe miasto bądź dzielnica większego – przejawiają tendencję, by gromadzić się w centralnym miejscu. Nie ma to związku z dostępem do przestrzeni, pożywienia czy innych zasobów, lecz raczej z pragnieniem uspołecznienia czy bliskości. To wtórne zagęszczenie powoduje szereg następstw, do których należą hiperaktywność jednych i nienaturalna pasywność innych, często

przechodzące jedna w drugą. I to jest właśnie zjawisko, jakie nadaje ton centralnym placom miast czy dzielnic. Niekiedy są to mężczyźni w średnim wieku, którzy piją alkohol bądź patrzą przed siebie, milczą lub wybuchają nagłymi kłótniami, są pobudzeni albo ospali. Niekiedy są to pojedyncze grupki głośno zachowującej się młodzieży. Albo hałaśliwe pary. Albo osoby sprawiające wrażenie zdeorientowanych, zagubionych, splątanych. Albo żebracy, żebraczki. A najczęściej są to różne konfiguracje osób podobnych do opisanych powyżej lub innych, ale zawsze budzących pewien niepokój. Nie chodzi przy tym wcale o zachowania jednoznacznie agresywne (choć procentowo jest ich najwięcej w centrach miast), lecz o rodzaj napięcia wprowadzanego przez samą obecność i zachowanie odbiegające od pewnej konwencji. Konwencji polegającej na ograniczaniu bliskości do konkretnych sytuacji (zwłaszcza domowych, rodzinnych, towarzyskich) i unikaniu jej na poziomie społecznym. Konwencji, by w przestrzeni publicznej „nie znać się i nie chcieć się znać”. A na pewno trzymać dystans. Osoby okupujące miejskie place tego nie robią. Skracają dystans, szukają bliskości. Dlatego budzą niepokój i niechęć, czasem wrogość. Stają się niechcianymi intruzami.

Z tej perspektywy na betonowanie placów i pozbawianie ich drzew – a zatem czynienie ich pustyniami niezdatnymi do przebywania – można spojrzeć jak na kolejny etap procesu zapoczątkowanego przez grodzenie osiedli. Procesu – w dużej mierze podświadomego – stwarzania fizycznych barier dla niechcianych osób, postaw czy emocji. Najpierw za pomocą krat, domofonów i zamkniętych bram zostały one wyrugowane z budynków, a następnie z osiedli i gentryfikowanych dzielnic. W ten sposób wzmocnieniu uległy naturalne tendencje gromadzenia się na centralnych placach. Uczynienie z nich pustych, betonowych, nieprzyjaznych przestrzeni byłoby z tej perspektywy ostatnim aktem usuwania poza obszar społeczności tego, co niechciane czy przestraszające. Pozostaje pytanie, gdzie mają się one podziać?

Epilog

Trauma jest normalną reakcją na nienormalną sytuację. Grodzenie osiedli, czy szerzej: wznoszenie fizycznych barier, wydawało się naturalną odpowiedzią na porzucenie przez państwo swoich obywateli i zostawienie ich samych z uwolnionymi demonami. Naturalne też wydawało się ograniczenie terytorium do obszaru, który wydawał się możliwy do obrony przez daną grupę – nie miasta, nie osiedla, lecz pojedynczego budynku czy nawet fragmentu korytarza. Działanie pod wpływem traumy ma jednak szereg ograniczeń i skutków ubocznych. Grodzenie i betonowanie jako reakcje odruchowe, impulsywne, przypominają wylewanie dziecka z kąpielą. Być może blokują dostęp agresorom, przy okazji znacznie utrudniając funkcjonowanie mieszkańcom i odcinając ich od tego wszystkiego, co nie stanowi zagrożenia, lecz mogłoby wzbogacić życie wspólnoty. Smutne (i pełne niemiłych owadów) są osiedla, z których pozbyto się jerzyków. Jeszcze smutniejsze są zamknięte enklawy ogołoczone z ludzi i emocji.

Wygrodzenie jednego lub kilku budynków być może ułatwia rozwiązanie niektórych problemów. Równocześnie jednak prowadzi do tworzenia w dzielnicy czy mieście izolowanych podmiotów. Utrudnia współpracę przy załatwianiu wielu spraw w skali przekraczającej wymiar pojedynczej wspólnoty. Często bywa tak, że po grodzeniu przestrzeń wewnątrz płotu staje się bardziej zadbana i chroniona, a na jego zewnątrz – bezpańska i trudniejsza do ochrony.

Co może pomóc? Przez cały ten tekst przewija się figura gospodarza domu. Nie był to świadomy zamiar. Coś w tym może jednak jest? Jeżeli decydującym impulsem prowadzącym do traumy było porzucenie przez państwo swej roli wobec obywateli jako użytkowników przestrzeni, to może powinno ono do niej wrócić, aby pomóc ją przepracować? Zahamowanie maniakałnego betonowania jest pierwszym krokiem. Aktywność władzy nie powinna się jednak ograniczyć ani do niego, ani do prostego

uruchamiania funduszy, ani do impulsywnych pojedynczych działań podejmowanych na szczeblu centralnym bez namysłu czy empatii. Takim krokiem prowadzącym do pogłębienia traumy byłby na przykład odgórny zakaz grodzenia osiedli. Zamiast tego potrzebne jest zrozumienie oraz uznanie potrzeb i emocji stojących za stawianiem fizycznych barier oraz aktywna, realna pomoc udzielana wspólnotom we wprowadzaniu bardziej sensownych rozwiązań. Na tym etapie byłoby nim nie tyle usuwanie płotów, co ich rozszerzanie. Symboliczne i dosłowne.

Autorstwo: Tomasz Drzazgowski

Źródło: NowyObywatel.pl